
Przechadzki

Wspomnienia z dzieciństwa w widmowym świecie

Leszek Koczanowicz

TEKSTY DRUGIE 2019, NR 4, S. 279–300

DOI: 10.18318/td.2019.4.17 | ORCID: 0000-0002-4204-1674

1. Prolog: duchy w trzecim świecie

Obcując z ciałami, poznajemy upiory. Austriacko-brytyjski filozof Karl Popper pisał o trzech światach wiedzy, w których przebiega nasze życie. Pierwszy to świat rzeczy, solidnych przedmiotów niezależnych od nas, którymi staramy się manipulować, przekształcać je dla naszych celów. Drugi to nasze subiektywne odczucia, to, jak odbieramy i przeżywamy, obraz wszystkiego, co nas otacza. Najciekawszy jest jednak świat trzeci, świat naszych wartości, symboli, tego wszystkiego, co można nazwać obiektywną wiedzą. Nie jest on materialny, ale też nie jest fizyczny. Istnieć może w książkach, przedmiotach, które mają wartość symboliczną, istnieje we wszystkim co zawiera i przenosi naszą wiedzę. Popper pisze, że ludzie tworzą trzeci świat instynktownie, tak jak ptaki, które od wieków budują gniazda, trwające często długo po ich śmierci. Aby wyjaśnić tę zawiłą teorię, można przeprowadzić, pisze filozof, eksperyment myślowy. „Wszystkie maszyny i narzędzia uległy destrukcji, jak również nasza wiedza subiektywna wraz z subiektywną wiedzą

Leszek Koczanowicz

– kulturoznawca, politolog, filozof. Zajmuje się kulturowymi kontekstami polityki, koncepcjami demokracji i etyką polityki. Interesuje się filozofią kultury, współczesną kulturą i sztuką. Prowadził badania i wykłady na wielu uczelniach zagranicznych, w tym na Uniwersytecie Columbia, Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, Uniwersytecie w Buffalo i Uniwersytecie Oksfordzkim oraz w Helsińskim Kolegium Studiów Zaawansowanych (HCAS). Autor wielu książek, laureat konkursu „Mistrz” Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej oraz Stypendium Wyjazdowego FNP na Uniwersytecie w Uppsali.

o maszynach i narzędziach oraz metodach posługiwania się nimi. Ale biblioteki oraz nasza umiejętność uczenia się z nich przetrwała. Oczywiście, *po wielu cierpieniach* [wyróż. – L.K.] odbudowalibyśmy nasz świat¹. W takim eksperymencie myślowym, po II wojnie brały udział miliony ludzi, którzy przybywali na obce tereny i zasiedlali je, mieszając swoje życie z życiem nieobecnych poprzedników. Stykali się z przedmiotami świata trzeciego ucieleśnionymi w produktach świata pierwszego. Żyli wśród sprzętów i mebli należących do poprzednich gospodarzy tych ziem. Zostały biblioteki publiczne i domowe z książkami zawierającymi wiedzę. Nowi przybysze mogli też obcować z dziełami sztuki, które zgromadzili ich poprzednicy. Ale, jak przewidział to filozof, odbudować świat można tylko *po wielu cierpieniach*.

Popper, zwolennik istnienia bezcielesnej duszy, przekonany, że nasza jaźń uwarunkowana jest przede wszystkim przez trzeci świat², nie wziął pod uwagę tego, że trzeci świat to nie tylko obiekty fizyczne czy symboliczne, że zamieszkały jest też przez widma, że aura emocjonalna, jaką nasyczone są przedmioty tego świata przyciąga i odpycha jednocześnie. Wchodzenie w czyjeś życie musi budzić lęk i wiele jest opowieści, które miały oswoić to uczucie niepokoju i niepewności, które dotykało ludzi zasiedlających nowe światy i przekonujących siebie, że są ich prawowitymi dziedzicami. W wielu miejscach Europy Wschodniej słyszałem opowieść, że nowi ludzie wkraczają do domu, w którym nie ma już nikogo, ale unosi się para wrzącej wody z czajnika. Opowieść ta daje iluzję ciągłości, a nawet intymnej bliskości z nieobecnymi już mieszkańcami opuszczonych miejsc. Widmowa para staje się mostem między nowymi a starymi czasami, pozwala myśleć tym, którzy przybyli, że są na swoim miejscu, stali się prawowitymi dziedzicami jego przeszłości. Co jednak dzieje się z pamięcią, która traci swój naturalny punkt odniesienia – miejsce? Pamięcią, która nie obejmuje *tego tu*, ale sięga gdzieś w odległe obszary? Pamięcią, która musi się zderzyć z bezcielesną pamięcią *tego miejsca*?

2. Żyliśmy wśród duchów

Dzieciństwo spędziłem w świecie duchów. Nie było w tym nic dziwnego, tak żyli wszyscy z mojego pokolenia, duchy otaczały nas codziennie.

-
1. K. Popper *Wiedza obiektywna: ewolucyjna teoria epistemologiczna*, przeł., przyp. i wstęp A. Chmielewski, PWN, Warszawa 2002, s. 150.
 2. K. Popper, J. Eccles *The Self and its Brain*, Springer International, New York 1977, s. 109-112.

W starej kamienicy, w mieszkaniu, w którym mieszkaliśmy, moja Mama wielokrotnie widziała ducha Niemca, który podobno powiesił się na klamce od drzwi pokoju, gdzie była moja sypialnia. Nie wydawała się tym szczególnie przerażona, traktowała to trochę, tak teraz myślę, jak normalny bieg spraw. Duchy manifestowały się czasem prawie bezpośrednio. Już będąc we Wrocławiu, słyszałem opowieść o domu, w którym mieszkał mój kolega. Mówił, że została tam brutalnie zabita rodzina niemiecka i od tego czasu w piwnicy pojawiają się krwawe plamy. Zamałowywaliśmy je wiele razy – mówił – ale i tak na nowo się ujawniały. Trwały jako nieme świadectwo ludzkiej niegodziwości.

Takie historie słyszało się powszechnie w różnych zakątkach *Ziem Odzyskanych*. Miron Białoszewski jedną z nich poetycko przetransformował w wierszu *Poniemiecka ballada sopocka* opowiadającym o domu, w którym działy się dziwne rzeczy:

Garnki na zimnej kuchni
Podskakiwały poufnie.
Zsuwały się same drzwi.
Bez osoby kroki szły.
Noc, z pięterka pisk:
Na gzymsie biały lis,
O, spadł jak worek mąki.
[...]

A działy się może od tego,
Ze roku 45-go,
Kiedy zwyciężający mieli wejść,
Sędzia Niemiec, pan willi,
Podobno niewinny,
Pani, dzieci, niańka,
Kuzyni, służąca, ogrodnik,
Razem jedenaścioro,
Zebrali się w stołowej Sali
I siedząc, jedząc, połykali
Cyjanek.
Tak ich zastali
Siedzących

Nieżywych.
 Nawet struty pies.
 [...]³

Nie dziwiły mnie i nie przerażały takie opowieści, gdyż makabryczne rzeczy zdarzały się ciągle, dzieci wykopały na podwórku szkielet żołnierza niemieckiego w resztkach munduru i w hełmie. Nikt się tym specjalnie nie zainteresował, nie wiem nawet, co stało się ze szczątkami. Nikt się tym nie zainteresował, ponieważ na cmentarzach *poniemieckich* widzieliśmy ciągle rozbite grobowce i walające się kości. Niektóre z cmentarzy pozostały niemieckie, nie ruszono ich i powoli niszczały, aż zostały zlikwidowane w latach 70. pod pretekstem, że od dawna nie odbyły się na nich pochówki. Inne jednak, jak ten w Legnicy, gdzie spoczywają moi rodzice, pozostały i Polacy byli grzebani nad spróchniałymi trumnami *niemieckimi*. Ta wspólnota umarłych trwała jako jedyna, w której starzy mieszkańcy i nowi przybysze zgodnie leżeli obok siebie, chyba nie niepokojąc się nawzajem.

Codziennością było jednak życie w popperowskiej metaforze, gdzie nowi przybysze mieszkają w ruinach martwej cywilizacji. Napotykaliliśmy na każdym kroku tajemnicze ślady: inskrypcje w kościołach, książki pisane zagadkowym alfabetem, niby tym samym, a innym. Były naczynia kuchenne z napisami *Salz, Pfeffer, Zucker*, których nie lekceważono. Jedna z moich ciotek wsypywała cukier do pojemnika *Pfeffer*, a pieprz do tego oznaczonego *Zucker*. W moim domu była piękna porcelanowa cukiernica niepasująca do innych sprzętów przynależnych do zgrzebnego PRL-u. Mówiło się o niej, używając słowa-klucza *wyszabrowana*, nie odnosiło się ono jednak do realnej sytuacji, gdyż moi rodzice przybyli na Dolny Śląsk zbyt późno, aby naprawdę coś *szabrować*. Pojęcie *wyszabrowane* określało raczej status ontologiczny rzeczy, jej istnienie jako czegoś obcego, ale w jakiś sposób zawłaszczonego, może oswojonego. *Wyszabrowane* znaczyło „prawie moje”. Cukiernicę Mama sprzedała w czasie biedy i ten dziwny, hybrydyczny przedmiot zniknął na zawsze z moich oczu.

Były przedmioty, ale nie było tych, którzy je tworzyli, nie było Niemców. Dla mojego pokolenia urodzonych w latach 50. XX wieku, Niemiec to była abstrakcyjna kategoria. Były co prawda nieszczęśliwe kobiety, głównie sprzątaczkki, o których mówiono, że są Niemkami. Zostały, ponieważ urodziły dzieci,

3 M. Białoszewski *Poniemiecka ballada sopocka*, w: tegoż *Sprawdzone sobą. Wybór wierszy*, PIW, Warszawa 2013, s. 384-385.

często pewnie poczęte z gwałtów, a były zbyt niezaradne, żeby zorganizować sobie wyjazd. Powoli jednak znikaly, przenosząc się stopniowo do któregoś z państw niemieckich. Moja młodsza siostra miała w szkole koleżankę, która nosiła niepasujące do polskiego imienia wielocłonowe, arystokratyczne nazwisko niemieckie. Mówiono, że jej ojca rodzina zostawiła z opiekunką, obiecując, że wrócą, do czego nigdy nie doszło. Pozostał więc osamotniony w Legnicy i tam *ułożył* sobie życie.

Teraz, z perspektywy czasu, mogę domyślać się, że jednak miałem skrzywione spojrzenie na te sprawy. Nie były tak proste, jak mi się wydawało. Mój kolega, wybitny socjolog niemiecki, opowiadał mi, jak poruszyło go, że podczas wizyty w Polsce, w jednym z małych miast dolnośląskich, spotkał człowieka, który ze łzami w oczach powiedział mu, że po latach po raz pierwszy usłyszał język niemiecki. Słyszałem potem opowieści o meandrach losu, które pozwoliły niektórym pozostać na tych już *polских* ziemiach.

3. Wychowywałem się w Legnicy

„Nierzeczywiste miasto” (*unreal city*), kiedy w liceum poznałem tę frazę z poematu T.S. Eliota, uderzyło mnie, jak bardzo pasuje ona do miejsca, w którym żyję. Lejb Fogelman, z którym minąłem się w Legnicy, bo, 5 lat starszy odjechał z miasta, kiedy ja w nim zamieszkałem, na uwagę Michała Komara: „Mówi się, że w tamtych latach w Legnicy powstał ostatni sztetl Rzeczypospolitej”, dopowiada: „To było coś więcej. Saloniki nad rzeką Kaczawą. Nie licząc garstki Niemców, tylko nowi ludzie, czyli przybysze. Polacy zza Buga, Żydzi, Grecy, Macedończycy, osiedli Cyganie, część miasta zajęta przez Armię Czerwoną, więc Rosjanie, Gruzini, Kazachowie, Kałmucy, Czuczkie, wszystkie narodowości ZSRR. Pamiętam, jak w zimowe poranki żołnierze biegali z nagimi torsami, a z ich ust dobywały się kłęby pary. Każdy miał w kieszeni czerwone gwiazdki, więc dzieci biegły za nimi z prośbą: – *Diadia, daj zwiezdoczku*”⁴. Taka Legnica została też w moich wspomnieniach. Pamiętam ludzi różnych narodów, w tym też niewymienionych przez Fogelmana, Ukraińców i Łemków. Zdarzało mi się prosić żołnierzy radzieckich o piękne gwiazdki z czerwoną emalią w środku i złotymi promieniami. Okazało się zresztą, że był to przedmiot pożądania kolejnych pokoleń chłopców z Legnicy. Adam, anonimowy rozmówca Joanny Wiszniewskiej, opowiada o tym, jak w latach

4 L. Fogelman *Warto żyć. Rozmawia Michał Komar*, Wydawnictwo Czerwone i Czarne, Warszawa] 2018 (epub), s. 486.

40.: „Na płocie oddzielającym naszą szkołę od garnizonu radzieckiego wyśiadywałem wrzeszcząc: «diadia daj zwiezdoczku», i oni mi dawali pięcioramienne gwiazdy a dla małego chłopca to jest wielka rzecz!”⁵.

Pamiętam też przysmak sprzedawany na każdym rogu przez stare kobiety w tutkach zrobionych z gazety, czyli palone pestki słonecznika, którymi była zasłana podłoga po każdym filmowym seansie i ulice po każdym święcie. Przynosiliśmy je do szkoły, by jeść ich zawartość na przerwach, a czasem w trakcie lekcji. Jedna z moich nauczycielek, zirytowana zaśmiecaniem szkoły łupinami po pestkach, krzyczała na nas: „Zachowujecie się jak rosyjscy żołdacy”, co było wyrazem najwyższego potępienia.

Ludzie, którzy przybywali na Dolny Śląsk z różnych stron ówczesnego świata, przynosili ze sobą tajemnice, pamięć często o krwawych dramatach. Parallele, a na ogół i sprzeczne wspomnienia różnych grup: Polaków, Ukraińców, Żydów, skrywała zasłona milczenia. Przybycie tu często okazywało się wstąpieniem do Hadesu, wymagało napicia się z rzeki Lety, rzeki zapomnienia. Uciekinierzy wspomnień tworzyli na nowo życie, a części ich tajemnic ujawniały się czasem w szczelinach niepamięci. Pewnego razu mój ojciec pokazał mi na ulicy człowieka, o którym powiedział, że wykonał wyrok na konfidencie Gestapo w małym miasteczku galicyjskim, z którego obaj pochodzili. Patrzyłem z przerażaniem na kogoś, kto *zabił człowieka*. Ile jednak takich, pewno dużo bardziej dramatycznych historii kryło się w najbliższym otoczeniu?

Tak, Legnica była niezwykłym miejscem w porównaniu z resztą komunistycznego, zhomogenizowanego narodowo i religijnie kraju. Jak to wyraziła Anda Rottenberg, pisząc o swych legnickich latach: „Wszyscy mieli dzieci w podobnym wieku i wszyscy najlepiej się czuli w Legnicy, gdzie nie zwracano uwagi na akcent ani narodowość i gdzie wszyscy należeli do jednej klasy społecznej – osadników”⁶.

Ja jednak czułem, choć wtedy jeszcze nie potrafiłem wyrazić, że rzeczywistość miasta była krucha, prawie nierealna. Nie potrafiłem tego wyrazić i nikt do tego nie był zdolny, gdyż nie można żyć życiem, które świadomie uważa się za iluzoryczne. Czuło się jednak, że miasto jest dekoracją, wielkim filmowym planem nieznanego i nieobecnego reżysera. Planem filmowym, który w każdej chwili może być zwinięty i przeniesiony w inne miejsce. Może powinno się powiedzieć inaczej, że miasto było wielkim ćwiczeniem w ciągłości

5 J. Wiszniewicz *Życie przecięte. Opowieści pokolenia Marca*, Czarne, Wołowiec 2008, s. 163.

6 A. Rottenberg *Proszę bardzo*, W.A.B., Warszawa 2009 (epub), s. 349.

i nieciągłości, kondensując w sobie los *Ziem Odzyskanych*, ale też prefigurując to, co nazwano potem postmodernizmem. Nic nie pasowało tu do niczego. To poczucie nieadekwatności rzeczywistości ujawniało się już na poziomie politycznym. Komunistyczne państwo, w którym w każdą niedzielę wypełniały się po brzegi kościoły, a dzieci komunistycznych dostojników witały kwiatami biskupa, za co z pracy wyrzucono ich ojca. Państwo, w którym oficjalna ideologia stawała się coraz bardziej odległą od codziennego życia retoryką czy rytuałem, w który prawie już nikt nie wierzył. Podwójne życie, sugestywnie opisywane w wielu opracowaniach i powieściach, było normą, prawie automatycznie przez wszystkich wypełnianą, na którą nie zwracano uwagi, tak musiało być.

4. Ludzie, którzy zniknęli i którzy zostali

W Legnicy jednak, oprócz tego ogólnego nastroju podwilżowego komunizmu, nostalgia nietrwałości miała swoje własne korzenie, choć splecione silnie z politycznymi wydarzeniami. W kraju, gdzie dogmatem, powtarzającym do znudzenia przez propagandę, była duma z etnicznej homogeniczności, Legnica stała się wyjątkiem, ostoją wielokulturowości, choć samego tego terminu wówczas nie znaleźmy. Różne grupy żyły obok siebie, czasem wchodząc w relacje, a czasem ignorując się zupełnie. Każda z nich przybyła z bagażem wspomnień, najczęściej traumatycznych, resentymentów i ukrytych pragnień. Cienki lód komunistycznej propagandy i opresji nie pozwalał wydobyć się im w pełni na powierzchnię świadomości zbiorowej, ale przebijały w prywatnych rozmowach i czasem stawały się zarzewiem sporów między grupami.

Sama już struktura przestrzenna miasta, naznaczona obecnością Rosjan, stanowiła synekdochę nieciągłości. W jego środku mieściło się „Zakazane Miasto”, nazywane powszechnie *Kwadratem*, odgródzone wysokim płotem i czujną strażą. W tym niedostępnym dla mieszkańców obszarze żyli wysokiei rangi oficerowie, były tam *podobno* szkoły, szpital i, jeden bóg wie, co jeszcze. Rosjanie zarządzali też aż do lat 70. najlepszymi budynkami w rynku, a do najlepszej części pięknego parku, gdzie Mama zabierała mnie w dzieciństwie na spacer, sprzedawali bilety.

Niżsi rangą oficerowie mieszkali w domach, które często przez ścianę sąsiadowały z domami polskimi. Ja mieszkałem właśnie w takim domu, gdzie było wspólne podwórko. Kontaktów między nami i Rosjanami praktycznie nie było. Jeśli były, to raczej nie zmitologizowane historie miłosne

czy przyjacielskie, ale przede wszystkim brutalne związki biznesowe, w ówczesnym rozumieniu, czyli *ciemne interesy*, przede wszystkim handel złotem. Czasem tylko przebijały się na światło dzienne, jak w przypadku najścia żołnierza radzieckiego na mieszkanie lekarki, w którym zginęła ona i dwóch milicjantów. Żołnierz ostrzeliwał się czas jakiś, aż przybyło specjalne komando rosyjskie i wtedy popełnił samobójstwo. Oczywiście chodziło o tym wydarzeniu niestworzone plotki, ale pewne było tło handlowe tej dramatycznej historii. Obok kamienicy, w której mieszkałem, wydarzyła się podobnie dramatyczna historia, ale jej tło było zupełnie inne. Oficer radziecki strzelał do, jak mówiono, wiarołomnej żony, która uciekając, skoczyła ranna na balkon niżej i tam leżała, nie będąc w stanie się ruszyć. Jej mąż ostrzeliwał cały czas balkon, aż polski ORMO-wiec skoczył z balkonu wyżej, obezwładniając go.

Oprócz podobnych, szeroko komentowanych, szczególnych przypadków, a Legnica w tym czasie była najbardziej kryminogennym miastem w Polsce, społeczności te ignorowały się nawzajem. Obserwowaliśmy Rosjan, jak jakąś inną obcą cywilizację, z pewnym poczuciem wyższości. Do dziś pamiętam intensywność tego poczucia i dlatego trudno mi zaakceptować wizję Polski jako kraju postkolonialnego, w którym żyje się w kompleksie niższości wobec centrum i stara się mu dorównać. W naszym przypadku było dokładnie odwrotnie, peryferium Imperium przesunięte ku mitycznemu *Zachodowi*, cywilizacja facyńska zderzona z barbarzyństwem *Wschodu*. *Duch* ulegający, na chwilę, to było pewne, *sile oręża*.

Czy to poczucie było uzasadnione czy nie, to inna sprawa, ale zbieraliśmy mimochodem skrupulatne dowody, które miały je potwierdzać. „Polska” część kamienicy była jako tako zadbana, „rosyjska” kompletnie zrujnowana. Okna były zasłonięte gazetami i złośliwie mówiono, że zmieniają je tylko na rocznicę rewolucji październikowej. Na basen czy nad rzekę rodziny rosyjskie przychodziły ze wszechobecnymi *czemodanikami*, tekturowymi walizeczkami, z których wyjmowały swoje rzeczy do kąpiel. Nawet na tle zgrzebnych lat 60., czasów małej stabilizacji, rosyjski styl życia wydawał się jakby żywcem przeniesiony z pierwszych lat powojennych, nastawiony przede wszystkim na to, by przetrwać.

Dorośli na ogół nie spotykali się ze sobą, ale dzieci czasem bawiły się wspólnie i rozmawiały w jakimś dziwnym polsko-rosyjskim wolapiku o swych sprawach. Były to zwykle proste komunikaty potrzebne w zabawie, ale kiedyś moja młodsza siostra, która przygotowywała się właśnie do pierwszej komunii, wróciła do domu wstrząśnięta rozmową z rosyjską rówieśniczką. Rozmawiały o religii i od swej cudzoziemskiej towarzyski zabaw

dowiedziała się, że Walentyna Tiereszkowa była w niebie i żadnego boga nie widziała. Ten empiryczny argument nie zachwiał co prawda wiary mojej siostry, ale pogłębił poczucie obcości wobec Rosjan, gdyż chyba nie znaleźliśmy dziecka, które byłoby niewierzące.

Wiele lat pobytu wojsk radzieckich w Legnicy nie zostawiło więc większych śladów, może garść zapamiętanych szczegółów, jak smak cukierków *bielki* kupowanych pod koniec lat 60. w radzieckich sklepach, tych nielicznych dostępnych dla Polaków. Z tej samej kategorii wspomnień gastronomicznych pochodzi historia o zakazie używania nazwy *pierogi ruskie*. Legnica była jedynym miejscem, gdzie nazywano je *pierogami legnickimi*. Zostały mi też w pamięci rzadkie wyprawy do kina radzieckiego, w którym wyświetlano głównie filmy o rewolucji lub wojnie i widok przerażających dla chłopca otwartych trumien ze zwłokami młodych żołnierzy wiezionych ciężarówkami na cmentarz.

Tę przezroczystość obecnej obecności potwierdza też prawie bezproblemowe zniknięcie Rosjan, zajmowane przez nich przestrzenie zostały stosunkowo szybko włączone do tkanki miasta. Natomiast, jak to zwykle bywa, realna nieobecność przekształca się w mitologizowaną egzystencję, projektowaną wstecz w sztuce i w opowieściach ludzi, która staje się wyróżnikiem swoistości miasta. Rosjanie, których dziwne istnienie w mieście, zostało przerwane ostatecznie w 1993 roku, pozostają już na zawsze częścią historii Legnicy.

Przez jakąś ironię historii, w której „wszystko powtarza się dwa razy”, powojenna obecność żołnierzy rosyjskich nałożyła się na tę sprzed ponad 100 lat, kiedy Rosjanie ścigali francuską armię napoleońską. W miejscowości Bunzlau, polskim Bolesławcu, w 1813 roku umarł marszałek Michaił Kutuzow, unieśmiertelniony w eposie Lwa Tołstoja *Wojna i pokój* jako wcielenie ducha narodu rosyjskiego. Armia Radziecka zaraz po zajęciu Bunzlau zaczęła organizować w domu, w którym umarł, muzeum poświęcone jego pamięci⁷. Pod jego pomnikiem ustawiono honorową wartę, a w rocznicę śmierci marszałka 28 kwietnia 1945 dowódca radziecki Iwan Koniew zorganizował defiladę⁸. Te pośpieszne działania wyglądają na efekt skomplikowanej gry motywów politycznych, a także emocjonalnych. Pragnienie pokazania ciągłości obecności żołnierzy rosyjskich na tych ziemiach, ale też jakaś forma uzasadnienia czy może nawet usprawiedliwienia ich pobytu, wszystkie te czynniki wydają

7 Informacje na temat muzeum czerpałem ze strony: <http://www.muzeum.boleslawiec.net/pl/editorials/338> (dostęp 21.12. 2018).

8 Zob. <http://istotne.pl/boleslawiec/wiadomosc/efs/pomnik-kutuzowa> (dostęp: 21.12.2018).

się współgrać w podejmowaniu tych symbolicznych działań. Do Bolesławca jeździłem rowerem, mgliście pamiętam rosyjską obsługę muzeum, które miało status eksterytorialny, jak ambasada. Zapamiętałem też fałszywą, jak się okazało, legendę, że serce Kutuzowa zostało na jego życzenie pochowane pod monumentem, pewno kolejny element dowodzenia prawomocności pobytu Armii Czerwonej na tym terenie. Do tego miszmaszu kulturalno-historycznego, w którym chwała imperium carskiego łączyła się obecnością komunistycznych wojsk na dawnych niemieckich terenach, dołączył w latach 70. nowy, popkulturowy element. Do muzeum dobudowano salę kinową, gdzie wyświetlano głównie kreskówkę *Wilk i zając*, jeden z niewielu produktów kultury radzieckiej, który cieszył się autentyczną popularnością w Polsce. Muzeum zniknęło tak nagle, jak się pojawiło. W 1991 roku, kiedy Armia Radziecka opuszczała Polskę, okazało się, że całe wyposażenie muzeum wyjechało razem z nią. Nie można było zatrzymać eksponatów ze względu na jego eksterytorialny status, ale po mieście krążyły pogłoski, że na czarnym rynku sprzedano wiele historycznych pamiątek prawie za bezcen.

Polityka w XX wieku, nazywanym czasem myląco, wiekiem indywidualizmu, działa z przerażającą dokładnością automatu, który realizuje zadane cele ponad ludzkimi pragnieniami i cierpieniami. Pstryk... i miliony ludzi opuszczają swe od wieków zasiedlone miejsca, kolejny pstryk... i zaczynają życie w innych, niewyobrażalnych wcześniej, okolicznościach. Rosjanie, czy *Radzianie*, jak się mówiło wtedy w żargonie na obywateli Związku Radzieckiego, przybyli i zniknęli na mocy tej logiki automatu.

Inaczej było z drugą grupą, której zniknięcie dane mi było z bliskiej perspektywy obserwować, z Żydami. Henryk Grynberg w książce *Memorbuch* datuje ustanowienie gminy żydowskiej w Legnicy na początek XIV wieku, w sto lat później zostali wygnani. Po kilku stuleciach wrócili w trakcie wojen napoleońskich. Gmina rozwijająca się do lat 30. XX wieku została zniszczona ostatecznie w 1941 roku. Po II wojnie Legnica stała jednym z centrów odnawiającego się życia żydowskiego w Polsce. „W 1946 zamieszkało w Legnicy 3657 Żydów, którzy ocalili w Rosji. W latach 1956-1960 przybyło jeszcze kilka tysięcy tych, których przedtem z Rosji wypuszczono. Za pieniądze z Jointu prowadzili świecką szkołę żydowską, przedszkole, bibliotekę, zbudowali teatr i założyli pięć spółdzielni rzemieślniczych. Jedna z nich, imienia Gerszona Dua, produkowała mace, które sprzedawano jako «płatki dietetyczne»”⁹. Było też żydowskie liceum, o którym przywoływany wcześniej Adam mówi, że

9 H. Grynberg *Memorbuch*, W.A.B., Warszawa 2000, s. 344.

„było najmniejsze z trzech liceów w Legnicy – ale nie najslabsze. Wygrywalimy nieraz olimpiady matematyczne – byliśmy mocni w historii, geografii i biologii – różnicy wielkiej między naszą szkołą a normalną polską szkołą nie było”¹⁰. W latach 60. pamiętam, że mówiono, iż ma ono problemy z naborem, gdyż większość dzieci żydowskich chodziła do szkół polskich. Pod względem edukacyjnym zresztą Legnica też była wyjątkiem, były w niej cztery licea, dwa oznaczone jako LO I i LO II oraz Liceum Ukraińskie i właśnie Żydowskie.

Wszystko to jednak zmienił rok 1968. Legnica była jednym z niewielu ośrodków nieakademickich, gdzie doszło do demonstracji. Wydaje mi się, a z długiej perspektywy czasu trudno jest odróżnić własne wspomnienia od tego, co opowiadano, że widziałem demonstrację idącą jedną z głównych arterii miasta, ulicą Lenina. Wśród demonstrantów widziałem swego starszego kolegę, syna *prywaciarza* zresztą, który niósł transparent „Precz z Moczarem”. Zgromadzenie zostało brutalnie rozpędzone, słyszałem potem rozmowy dorosłych, że władze robiły wszystko, żeby miasto o znaczeniu strategicznym, siedziba Armii Czerwonej, było spokojne. W jednym z następnych dni nauczycielka powiedziała, że wzywa nas do spokoju, ponieważ tak kazały jej zrobić władze szkolne. Najgorsze jednak było to, co nastąpiło potem. Mój ówczesny najlepszy kolega pochodził z rodziny polsko-żydowskiej. Matka ratowała Żydów w czasie Zagłady (ma swoje drzewko w Yad Vashem), a jego ojciec był jednym z tych, którym pomagała. Nie rozmawialiśmy oczywiście o tych sprawach, aż w lokalnej prasie ukazał się artykuł „demaskujący” znaczącego obywatela Legnicy, który miał całe życie oszukiwać Partię i Naród. Jak na to reagować... wszystko to było zbyt ciężkie i w żaden sposób nie przystawało do naszego doświadczenia czternastolatków. W rok później kolega z całą rodziną, jedną z ostatnich pozostałych żydowskich rodzin, wyjechał za granicę i cała nasza licealna klasa odprowadzała go na dworzec. Żydzi po raz kolejny zniknęli z miasta.

Kolejną grupą, która pojawiła się i zniknęła jako efekt kaprysu historii, byli Grecy czy Macedończycy, uchodzący po wojnie domowej. Osiedlano ich w *odległych* miejscach w Bieszczadach, ale przede wszystkim na Dolnym Śląsku z największym skupiskiem w Zgorzelcu. W Legnicy nie było ich wielu, ale oczywiście wyróżniali się swoją egzotyką. Niektórzy kultywowali styl życia przeniesiony z ojczyzny, pamiętam, niewielkie stado owiec pasących się niedaleko mojego domu, widok raczej ekscentryczny w tym miejscu. Inni zaś kontynuowali działalność w organizacjach komunistycznych. Na cmentarzu,

10 J. Wiszniewicz *Życie przecięte...*, s. 165.

gdzie leżą pochowani moi rodzice, w Alei Zasłużonych są groby, na których wypisano skrupulatnie życiorys: Komunistyczna Partia Grecji, udział w wojnie domowej, praca w komitetach partyjnych w Polsce. Po upadku junty czarnych pułkowników diaspora grecka radykalnie stopniała, a jej historia ciągle czeka na opowiedzenie...

Kto został? Zostali oczywiście Polacy, ale też Ukraińcy i Łemkowie, którzy zostali przywiezieni na *Ziemie Zachodnie* w ramach akcji *Wisła*. Niewiele na ten temat mówiono, ale, podobnie jak w innych przypadkach, wisiało w powietrzu jakieś groźne niedopowiedzenie. Ojciec czytał mi na głos *Ogniem i mieczem*, całą szkołą chodziliśmy na film *Ogniomistrz Kaleń*, znałem też książkę Jana Gerharda *Luny w Bieszczadach*, która była jego literacką podstawą. Moja rodzina nie pochodziła z *tych obszarów* i nie słyszałem bezpośrednich opowieści o straszliwych rzeczach, które tam się działy. Takie narracje jednak do mnie dochodziły, przesączały się może z podsłuchanych rozmów dorosłych, może z rozmów z kolegami, którzy słyszeli je od rodzin. Wyłaniał się z tego jakiś mroczny, choć niejasny obraz, który trudno było zapełnić szczegółami. Czasy analizy i dyskusji *konfliktu* miały dopiero nadejść. *Ale jednak*, mieliśmy koleżanki i kolegów, którzy byli Łemkami, tych było najwięcej, i Ukrainkami i nie przykładaliśmy do tego wagi. Były to bardziej sprawy *dorosłych*. Na studiach wszystkie wakacje spędzałem w Beskidzie Niskim. Wędrując przez opuszczone wsi łemkowskie, z których zwykle pozostały resztki kamiennych fundamentów i ślady ogrodów z dziczejącymi roślinami, myślałem o ich mieszkańcach starających odnaleźć się w widmowym świecie *Zachodnich Ziemi*.

5. Lęk – polityka widma

„Ten czas jest kością wyłamaną w stawie” (*time is out of joint*) – mówi Hamlet po spotkaniu z duchem Ojca¹¹. Fraza ta jest znakiem pojawienia się widma. Obecność ducha narusza linearny przebieg czasu, który nagle zapęła się, jego meandry budzą najpierw zdziwienie a potem lęk, zmienia się cała struktura świata. Jacques Derrida w swej książce *Widma Marksa* analizuje ten dziwny rodzaj istnienia-nieistnienia, który dotyczy nas jak najbardziej: „ten widmowy *ktos inny patrzy na nas*, czujemy się przez niego obserwowani, poza wszelką synchronią, przed i poza wszelkim spojrzeniem z naszej strony, czujemy, że

11 W. Shakespeare *Hamlet księżę Danii*, przeł. S. Barańczak, Wydawnictwo „W drodze”, Poznań 1990, s. 52.

ten *ktoś inny* nas dotyczy poprzedzając nas absolutnie (uprzedniość może być z porządku pokoleniowego, z porządku wielu pokoleń) oraz asymetrii, w swej dysproporcji, nad którą nie można w żaden sposób zapanować. Prawo [*la loi*] stanowi tu achronia. *Efekt wizjera*, za sprawą którego dziedziczymy to prawo, polega więc na tym, że czujemy, że jesteśmy obserwowani przez spojrzenie, z którym nasze nigdy się nie skrzyżuje¹². Francuski filozof proponuje, aby dla analizy tak zniekształconej rzeczywistości używać kategorii *l'hauntologie*, co można by dosłownie tłumaczyć jako „nawiedzeninologia”, ale jak argumentuje tłumacz, lepszy byłby neologizm „widmontologia”¹³.

Nie ma wątpliwości, że widmontologia pozwalałaby zrozumieć wiele z tego, co się działo na Dolnym Śląsku po wojnie, a przede wszystkim dojmujący, choć starannie skrywany, lęk. Lęk, który wydaje się nieuchronny w zetknięciu z widmami. Derrida, odwołując się do Hamleta, pisze o prawie, nakazie, ale przecież pierwszą reakcją jest lęk. Coś (porządek rzeczy?) zostało naruszone, świat jest inny, niż się wydawał, ale nie tylko to, widmo nie może wszak wejść w normalny porządek rzeczy, lecz jednocześnie ujawnia się jako siła sprawcza, jako moc czystej perswazji. Widmo nakazuje, ale tylko w mocy żyjących jest wykonanie nakazu, mogą go zawsze bezkarnie zignorować. Czego domagały się od nowych przybyszów widma dawnych mieszkańców? Pamięci? Uznania? Nie wiedzieliśmy tego, ale to, co znaleźliśmy, to była *złożona geopolityczna sytuacja*, to był lęk.

Ujawniał się on na różnych poziomach, od najbardziej elementarnych obaw, że sytuacja jest przejściowa, że jest to wyjątkowy moment historyczny, kaprys Kairosa, który może tak samo szybko minąć, jak się pojawił. Ludzie bali się powrotu Niemców, słyszałem, że stawali nocą w oknach i wypatrywali, czy już to się dzieje. Nowoczesna hamartia, poczucie bycia-nie-na-swoim-miejscu, tak charakterystyczne dla nowoczesności, tu, na Dolnym Śląsku, nabierało pozornie konkretnego wymiaru, pozornie, gdyż za obawami stała konfrontacja z widmami. Oczywiście reakcją jest chęć ucieczki, schronienie się w miejsce, gdzie nie sięga obecność widma, powrót do dobrze znanej *rzeczywistości rzeczywistości*, żeby użyć kategorii Luca Boltanskiego, czyli przewidywalnych sekwencji wydarzeń¹⁴.

12 J. Derrida *Widma Marksa, stan długu, praca żałoby i nowa Międzynarodówka*, przeł. T. Załuski, PWN, Warszawa 2016, s. 26

13 T. Załuski *Nota tłumacza*, w: J. Derrida *Widma Marksa...*, s. 284.

14 L. Boltanski *Mysteries and Conspiracies, Detective Stories, Spy Novels and The Making of Modern Societies*, transl. C. Porter, Polity, Cambridge 2014, s. 107.

Ci, którzy mieszkali poza dawną polską granicą, marzyli więc o przeprowadzeniu się w „bezpieczne” okolice, które do Polski należały. Lęk taki kierował też postępowaniem władz, które oficjalnie głosząc nieodwracalność zmian, nie inwestowały w Ziemię Zachodnie. Ich historyczna tkanka niszczała i jeszcze w latach 70. jako student byłem na spotkaniu z dostojnikiem ówczesnych władz, który tłumaczył, że nie ma sensu wyrzucać pieniędzy na te niemieckie zabytki. Widmontologia stała też za uporczywym przekonywaniem, że tu była zawsze polska ziemia, że wpływy niemieckie były jedynie akcydentalne i stosunkowo późne. Nie była to na pewno prosta propaganda, często rozumowania takie przedstawiali wybitni historycy z niepodważalnym dorobkiem naukowym. Ale już, kiedy byłem na studiach, w latach 70. pojawiały się wątpliwości, co do prawomocności tej narracji. Kolega z historii opowiedział mi o sensacyjnym odkryciu archeologów. Odkopali oni podobno ulicę, która była krzywa, co miało stanowić dowód na polskość miasta, ponieważ Niemcy budowali zawsze po liniach prostych. Nie wiem, czy był to żart, czy prawda historyczna, ale na pewno był to wyraz dystansu do obowiązującej narracji. Oczywiście miała ona pewne pokrycie w faktach, w złożonych dziejach tych ziem, z których można było wybrać taką właśnie narrację (a przecież historia w swej istocie jest właśnie opowieścią). Taką interpretację podawano w szkołach, w dziełach sztuki, nie zauważając jej jednostronności, która często była jaskrawo widoczna z zewnątrz.

Max Frisch, który był uczestnikiem Światowego Kongresu Intelktualistów w Obronie Pokoju, zanotował pod datą 24 sierpnia 1948 roku wrażenia ze swej rozmowy z polską przewodniczką: „Rozmowa z miłą Polką, która tłumaczyła mi napisy na wystawie o nowych terenach włączonych teraz do Polski... Dowody na to, że Śląsk jest krainą polską... Takie same mogłaby przytaczać wobec nas Austria, żądając, żebyśmy po siedmiuset latach wrócili pod jej panowanie. Miła Polka, która mieszka we Wrocławiu od trzech miesięcy, odbiera moje zastrzeżenia jako wrogość”. Frisch, który dobrze, jak myślę zdiagnozował problem, nie za bardzo wie, jak można go rozwiązać. Pisze o tym, że lepszą narracją byłoby przywoływanie krzywd, jakich Polska doznała od Niemiec, i traktowania tych ziem jako rekompensaty. W końcu jednak konstatuje: „Co mają robić? Tragedią Polaków jest geografia...”¹⁵.

15 M. Frisch *Dziennik 1946-1949 1966-1971*, przeł. J. Ekier, K. Jachimczak, W.A.B., Warszawa 2015, s. 228.

Pisarz kontrastuje postawę poznanej przelotnie Polki z tą, która uderzyła go u rolnika w pewnej wsi na Dolnym Śląsku, właściciela gospodarstwa wyróżniającego się na tle powszechnej ruiny tych ziem. „Gospodarz opowiada o wszystkim szczerze i otwarcie. To pierwszy rok, kiedy żadne pole nie leży odłogiem, bo ma już traktor. Pokazuje nam księgi, które sumiennie prowadzi. Dla kogo? ... Na nasze pytanie, kto taki któregoś dnia przyjdzie, ze śmiechem wzrusza ciężkimi ramionami, przynosi piwo, kawał chleba i surowej szynki, później jabłka i śliwki, wreszcie wódkę”¹⁶. Po roku, kiedy jest już w Niemczech, znowu jawią się mu widma z Dolnego Śląska. Tym razem są to uchodźcy, których nędzę z bliska obserwuje, ludzie, którzy żyją „na pełnym uboczu, jak w średniowiecznych leprozoriach”. Widok ten skłania Frischa do gorzkiej refleksji: „Nikt o nich nie mówi. Jedyne, co słyszałem dotychczas, to, że – znowu ukradli kurę! A obok ludzie w kolorowych płaszczach kąpielowych, lśniące limuzyny... Myślę też o polskim rolniku, który gościł nas rok temu, tym porządnym, który teraz orze ich pola, bo i on został wypędzony z własnych, i który prowadzi dokładny dziennik swojej pracy, także pracy dzisiejszego dnia, dziennik zasiewów i zbiorów – Komu go będzie musiał kiedyś pokazać? Tym, co jeżdżą limuzyną?”¹⁷.

Pewnym wariantem tej strategii osvajania widm było przypomnienie polskiej obecności, choćby i bardzo ulotnej. W roku 1972 ukończyłem Szkołę Podstawową nr 18, tzw. Tysiąclatkę, czyli wybudowaną w ramach obchodów Millenium Państwa Polskiego. Obchody, czego nie dało się ukryć, były związane z chrztem Polski, ale władze rozpaczliwie starały się nadać im charakter świecki, czego akcja 1000 szkół na tysiąclecie była sztandarowym przedsięwzięciem. Pamiętam meandry polityki wobec Kościoła, na początku nauki lekcje religii w szkole, potem wyprowadzone do pobliskiego kościoła. Najbardziej jednak impresywne były obchody Bożego Ciała, wolnego czwartku w czerwcu. Był to jedyny dzień, kiedy w telewizji leciały cały czas amerykańskie westerny, a w szkole urządzano nieobowiązkowy, ale atrakcyjny „dzień sportu”. Oczywiście wszyscy byliśmy nieugięci i szliśmy do kościoła, a potem na procesję.

Rodzice wysłali mnie do II LO im. Stanisława Wyspiańskiego, szkoła ta miała opinię gorszej w porównaniu z elitarnym I LO prowadzonym twardą

16 Tamże, s. 231.

17 Tamże, s. 313.

ręką przez byłego andersowca Franciszka Pałkę¹⁸. Rodzice uznali jednak, że jestem zbyt wrażliwy na taki reżim, i postanowili mi go oszczędzić. Liceum przechodziłem bezproblemowo, dzięki cierpliwości nauczycieli i pewnym sukcesom w Olimpiadzie Języka Polskiego, ale nie to jest tu ważne.

Istotne jest, że co roku szliśmy całą szkołą do kościoła luterańskiego w środku miasta, aby złożyć wieniec kwiatowy. Powodem tej pielgrzymki była wizyta Stanisława Wyspiańskiego, który w 1890 roku odwiedził miasto, wracając ze swej pierwszej podróży zagranicznej. Wiemy o jego pierwszych wrażeniach z listu napisanego do Tadeusza Stryjeńskiego: „W nocy dojeżdżałem do miasta. Wicher był wielki, zdawało się, że będzie burza. Dokoła widać było szerokie równiny – puste, jakby na nich życie wygasło. Na horyzoncie pod ciężarem czarnych pasem chmur jakiś czerwieniejący blask stłumiony... Przypominają się czasy najazdów tatarskich hord. Przychodzi na myśl Henryk i pobożowisko. Wschód słońca czerwony”¹⁹. Opisywał w liście kościół, gdzie *niemiecki* renesans sąsiaduje z *polskimi* orłami piastowskimi. Efektem artystycznym podróży były szkice wnętrza kościołów w Legnicy, ale też rapsod *Henryk Pobożny pod Lignicą*. Wyspiański namalował również projekt witraża dla prezbiterium katedry krakowskiej przedstawiający widmo bohaterskiego księcia²⁰. Jednak w tej wyprawie pod kościół nie tyle były ważne osiągnięcia artystyczne wielkiego pisarza i malarza, ile jego tu *obecność*. Obecność, która jakoś oswajała te ziemie, włączała je w łańcuch wydarzeń związanych z polskością, bez względu na to, czym ona była. Tej polskości, nawet tak kruchej i ulotnej jak jednodniowa wizyta poety, oddawaliśmy hołd i nie potrafiliśmy wciążyć powiedzieć, czy słusznie?

6. Powroty i dialogi

Jedną z obsesji myśli zachodniej, sięgającą pewno odkryć geograficznych i podbojów kolonialnych, jest kwestia spotkania z *innym*. Nie była to nigdy jedynie sprawa teorii, ale przede wszystkim brutalnej praktyki politycznej, a w konsekwencji też przedmiot rozważań etycznych. Bez trudu można opisać

18 Píše o tym Anda Rottenberg *Proszę bardzo*, s. 502.

19 List cytuję za stroną internetową <http://pobozny.pl/wp-content/uploads/Wyspiański-wprowadzenie-SAP.pdf> (dostęp: 18.12. 2018).

20 Por. Wacława Milewska *Henryk Pobożny w bitwie pod Legnicą*. Projekt witraża dla prezbiterium katedry krakowskiej, na stronie Muzeum Narodowego w Krakowie <http://www.imnk.pl/gallerybox.php?dir=XX075> (dostęp: 20.12.2018).

rozwój nowoczesnej humanistyki jako wciąż ponawianą próbę poradzenia sobie z zagadką innego. Filozofia dialogu, koncepcja dialogu Michaiła Bachtina, etyka Emmanuela Levinasa, różne nurty społeczno-kulturowej antropologii i antropologii filozoficznej, fenomenologiczne rozważania Edmunda Husserla i Bernharda Waldenfelsa, to tylko niektóre z wątków wielkiej debaty o inności i obcości. Rozgrywa się ona w ramach trzech kluczowych pojęć: rozumienia, odpowiedzialności i sprawiedliwości.

Rozumieć innego, być odpowiedzialnym za innego i wymierzać sprawiedliwość innemu to trzy węzły, które konstytuują trójkąt etyczny spotkania z innym. Wkraczając na ten obszar, trafiamy od razu na sprzeczne odniesienia. Jacques Derrida w swej rozprawie o sile prawa pisze: „Rozmawiać z innym w języku innego jest, jak się wydaje, warunkiem wszelkiej możliwej sprawiedliwości, jednak co oczywiste, w każdym rygorze jest nie tylko niemożliwe (ponieważ nie mogę mówić językiem innego, chyba że przejmę go i zasymiluję zgodnie z zasadą istniejącego *implicite* trzeciego), ale też wykluczone przez sprawiedliwość jako prawo [*droit*], o tyle, o ile wydaje się ona implikować element uniwersalności, odniesienie do trzeciej strony, które zawiesza wyjątkowość i unikalność idiomu”²¹. Ta, zdaniem francuskiego filozofa, nieuchronna aporia sprawiedliwości jest jeszcze bardziej dolegliwa w świecie widm. Nie ma wątpliwości, znów odwołując się do Derridiańskiej widmontologii, że nasze widma domagają się sprawiedliwej pamięci, ale *ich* unikalny idiom wydaje się całkowicie dla nas niedostępny. Dostępne są dla nas oczywiście uniwersalne języki odpowiedzialności za przejęte dziedzictwo czy sprawiedliwej odpłaty za doznane krzywdy, co sugerował Max Frisch. Wystarczą one być może do dyskusji o *nakazach*, ale nie pozwalają rozumieć intymnego *świata* widm, ich unikalnego idiomu, nie pozwalają wejść z nimi w bezpośredni *dialog*.

Czy szansę na taki dialog dawały bezpośrednie spotkania tych, którzy odeszli, z tymi, którzy przybyli? Ubocznym efektem czystek etnicznych stała się nostalgiczna turystyka (*tourism of homesickness, Heimweh Tourismus*), czyli powroty do miejsc dawnego zamieszkania²². Nostalgiczna turystyka jest dziwną wersją powtarzającej się w różnych folklorach opowieści o kimś, kto zasnął i, obudziwszy się po latach, nie rozpoznał swego miasta i prawie przez

21 J. Derrida *Force de loi. Le "Fondement mystique de l'autorité"*, Éditions Galilée, Paris 1994, s. 40.

22 A. Demshuk *Reinscribing Schlesien as Śląsk. Memory and Mythology in a Postwar German-Polish Borderland*, „History & Memory” Spring/Summer 2012 Vol. 24, No. 1, s. 39-86, przyp. s. 43.

nikogo nie został rozpoznany. Najstarszą jej wersją jest chyba przytoczona przez Diogenesa Laertiosa historia Epimenidesa z Krety, który w jaskini przespał 57 lat, a następnie: „Obudziwszy się szukał swojej trzody, przekonany, że przed chwilą zasnął. Gdy jej nie znalazł, pobiegł znów na pastwisko, ale widząc, że wszystko tam już się zmieniło i że jest inny właściciel, podążył do miasta, wszedł do swego domu, gdzie zastał obcych ludzi, którzy go pytali, kim jest... Stał się przez to sławny w Grecji i uznano go za ulubieńca bogów”²³. Niewątpliwie doświadczenie wejścia po latach do swego domu i zastania tam obcych ludzi, którzy pytają: „kim jesteś?”, zdemokratyzowało się, stało się udziałem milionów ludzi po II wojnie, ale jest jedna różnica, nie można ich nazwać ulubieńcami bogów. Wracali po latach, po co? Może, by potwierdzić realność wspomnień; może, by odzyskać ciągłość pamięci; może, by odgonić uporczywe sny?

Wiele osób opowiadało mi, że śniły im się utracone krajobrazy i że sny te minęły, kiedy wrócili w *dawne strony*. Sam miałem okazję oprowadzać po Wrocławiu wybitnego filozofa z Berlina. Mówił mi, że przez lata miał uporczywy sen: chodzi po jakimś dziwnym mieście i pyta: „gdzie jestem”? Pada odpowiedź: „w Breslau”, i w tym momencie zawsze się budził. Nie wiem, czy sny zniknęły, ale na pewno mógł odzyskać ciągłość pamięci. Jego ojciec był pastorem metodystów, odnaleźliśmy kościół, wciąż tego samego wyznania, rozmawialiśmy z polskim jego następcą, który znał nazwisko poprzednika. Filozof opuścił Wrocław w wieku 8 lat, niewiele więc pamiętał z życia miasta.

Inaczej było z innym moim gościem, który był profesorem psychologii w małym miasteczku w Stanach Zjednoczonych. Po przyjeździe opowiedział mi niezwykłą historię młodości. Jego ojciec był Żydem, a matka Niemką, która oparła się próbom skłonienia jej do rozwodu. Trwali więc całkowicie osamotnieni, ciągle na krawędzi tragedii. Mój gość mógł jednak chodzić do liceum, gdzie, jak opowiadał, wszyscy go unikali, nie miał prawie żadnych kontaktów z rówieśnikami. Ocaliło go to, że jak pół-Żyd nie miał prawa pójść na studia ani wstąpić do armii, nie był godny tego, by zginąć za Hitlera. Z całej klasy ocalał tylko on i jeszcze jeden chłopiec, który nie miał nogi. Uciekł wraz z matką tuż przed ogłoszeniem Wrocławia twierdzą i zatrzymaniu wszystkich cywilów jako żywych tarcz przed nadciągającą Armią Radziecką. Matka była lekarką, miała więc specjalny przydział benzyny, dzięki czemu wydostali się z pułapki, jaką stał się Wrocław. Po wojnie skończył

23 Diogenes Laertios *Żywoty i poglądy dawnych filozofów*, PWN, Warszawa 2004, s. 66-67.

psychologię w Niemczech, a potem wyjechał na stałe do USA. Odnależliśmy dom, w którym mieszkali, gdzie pozostał błądy ślad po tabliczce lekarskiej jego matki. Weszliśmy też na podwórko, gdzie nie znaleźliśmy już stawu, na którym *wtedy* dzieci ślizgały się na łyżwach w zimie. Został podobno zasypany *tuż po wojnie*.

Opowieści tego typu słyszeliśmy coraz więcej, jak narastały kontakty z Niemcami po 1989 roku. Pojawiały się wspólne inicjatywy, które wiązały ze sobą dwie społeczności połączone ze sobą wspólnym miejscem, dla jednej życia, dla drugiej pamięci. Opowieści, działania tworzą palimpsest, w którym staramy się odczytać kody pamięci miejsca. Może zresztą nie tyle o miejsce chodzi, ale stawką jest zrozumienie innego, postawienie się w jego sytuacji, zdolność wyobrażenia sobie, że jesteśmy *kimś innym*, pozostając jednocześnie *sobą*.

Na to, że taka uniwersalizacja jest możliwa, wskazywał mój kolejny gość Johannes Fabian, wybitny antropolog specjalizujący się w popularnej kulturze Afryki. Miałem okazję uczestniczyć w jego sentymentalnej podróży do kraju dzieciństwa. Odwiedziliśmy Kamieniec Żąbkowicki z niezwykle pałacem królowy niderlandzkiej Marianny Orańskiej, który Fabian pamiętał z dzieciństwa. Opowiadał o dzieciństwie na pograniczu polsko-niemieckim na Śląsku Opolskim we wsi Pietrzykowice Wielkie, o tym, jak umożliwiło mu ono zrozumienie kultury popularnej w języku swahili. W artykule, który wyrósł z doświadczeń, o jakich wspominał, wskazuje na podobieństwa między Katangą, gdzie prowadził swe badania, a Śląskiem, gdzie spędził dzieciństwo. „W Katandze, podobnie jak na Śląsku ludzie żyli w reżimie imperialnym i byli poddani kolonizacji, choć w odmienny sposób. W obu przypadkach chłopci stawali się robotnikami i dla wielu z nich oznaczało to migrację do miejsko-industrialnych regionów. W obu przypadkach także Kościół rzymskokatolicki odgrywał ogromną rolę nie tylko jako źródło tożsamości religijnej, ale także, poprzez instytucje misyjne, jako kanał postępu społecznego”²⁴. Na te zasadnicze podobieństwa nakładały się jednak tożsamości lokalne umykające wszelkim generalizacjom. W Pietrzykowicach Wielkich mówiono po polsku i po niemiecku, lecz przede wszystkim po naszymu, czyli w „ludowej” odmianie języka morawskiego, był to też główny język rodziców Fabiana. Odpowiednikiem po

24 J. Fabian *Silesian Memories. On Recognizing Contemporary African Culture*, „Paideuma” 2010 no. 56, s. 33-40, cyt. s. 35.

našemu w Katandze jest kikwetu uważany przez purystów językowych za zdegenerowane swahili.

Używanie lokalnych języków daje poczucie wejścia w intymną relację z interlokutorami, której nie zapewnia porozumiewanie się w językach oficjalnych. „Kiedy jako dziecko mieszkałem w mieście niemieckojęzycznym, pamiętam wiele sytuacji, w których rodzice przechodzili na po našem nie tylko po to, by ukryć coś przed nami dziećmi, ale by dyskutować sprawy, które były «ich» (włączając w to trudne kwestie polityczne). Jako etnograf miałem wiele możliwości, by się przekonać, że kikwetu czymkolwiek by był, nie jest neutralnym kodem komunikacji. Z wieloma moimi interlokutorami mogłem rozmawiać równie łatwo po francusku, ale nigdy tak znacząco czy produktywnie (ani, czasami tak bezpiecznie)”²⁵. Dzieciństwo na Śląsku uczuliło więc Fabiana nie tylko na ważność lokalnych języków, ale też opartych na nich lokalnych sposobów życia i lokalnych tożsamości.

Punktem wyjścia rozważań Fabiana jest szczególnie sytuacja wieloetniczności i wielokulturowości, która charakteryzowała pogranicze Górnego i Opolskiego Śląska, ale refleksja, która im towarzyszy, prowadzi nas do rewizji pojęcia tożsamości jako wyrastającego z przekonania o ważności uniwersalnych mechanizmów uruchamianych przez ideologiczne aparaty państw narodowych. Konkludując, Fabian pisze: „Obecnie jestem przekonany, że moja rodzina śląska nie była «chłopami» a moi afrykańscy interlokutorzy nie byli «Afrykanami». Obiektywna trudność ich położenia była definiowana przez historyczne i społeczne realia, które nie były identyczne, lub zderzały się z wyobrażonymi tożsamościami, które uformowałem w swej pamięci i swych oczekiwaniach jako afrykanista. Oba pojęcia: autentyczny chłop i autentyczny Afrykanin są projekcjami na społeczno-historyczną rzeczywistość przeprowadzanymi z ideologicznej perspektywy, w której trudno oddzielić osobiste i profesjonalne uwarunkowania”²⁶.

Jeżeli rozszerzymy to pojęcie lokalności jako kulturowo-językowo-emojonalnej całości sposobów życia, to wracamy dokładnie do problemu, który postawiłem na początku tego rozdziału, przywołując koncepcję trzeciego świata Karla Poppera. Dziedzicząc miejsce z całym jego cywilizacyjnym wyposażeniem, musimy zmagać się z czymś nieuchwytnym, z aurą, z widmami. Używając kategorii, które wprowadziłem w książce *Polityka dialogu*:

25 Tamże, s. 37.

26 Tamże, s. 39.

*niekonsensualna demokracja i wspólnota krytyczna*²⁷, musimy odpowiedzieć na pytanie o możliwość dialogu z tradycją, która nie jest „nasza”, która stanowi wyzwanie nie tylko dla władz poznawczych, ale też dla naszych zdolności empatycznych. W przywoływanej pracy, odwołując się do koncepcji Michała Bachtina, dialog definiowałem nie jako wehikuł porozumienia, ale jako medium rozumienia. Rozumienia, które, znowu nawiązując do rosyjskiego semiotyka, jest zdolnością do włączania głosu innego w nasz własny aparat pojęciowy, dzięki czemu powstaje zawsze hybryda, która z kolei służy do komunikacji z interlokutorem. Proces dialogicznego, refleksyjnego rozumienia jest zawsze spiralą, której poszczególne zakola oznaczają kolejne stadia rozumienia, ale która jest zawsze otwarta, proces komunikacji nigdy nie jest skończony, choć oczywiście, w określonych sytuacjach społecznych, takich jak decyzje polityczne czy wyroki sądowe, jest dookreślony na dłuższy lub krótszy czas.

Takie rozumienie dialogu pozwala spojrzeć na pamięć jako konstrukcję wyrastającą z rozmowy z widmami. Przy całym szacunku dla Poppera, nie wydaje się, żeby możliwe było odtworzenie zaginionej cywilizacji, nawet gdybyśmy mieli dostęp do wszystkich jej artefaktów. Możliwy jest natomiast dialog, w którym nie tracąc swej tożsamości, możemy w jakimś przynajmniej stopniu przesunąć się w kierunku tych, którzy ją tworzyli. Nie jest to proces łatwy, nie tyle z powodów poznawczych, ale przede wszystkim dlatego, że wymaga rezygnacji z przekonania, że mamy prawo działać wyłącznie zgodnie z naszymi pragnieniami i przesądami. Wchodząc w dialog musimy zaakceptować głos innego, choćby był on widmowy. Jest to jednak jedyny sposób na złączenie łąku pamięci.

27 L. Koczanowicz *Politics of Dialogue: Non-consensual Democracy and Critical Community*, Edinburgh University Press, Edinburgh 2014. Przekład polski: *Polityka dialogu: niekonsensualna demokracja i wspólnota krytyczna*, przeł. K. Liszka, PWN, Warszawa 2015.

Abstract

Leszek Koczanowicz

UNIVERSITY OF SOCIAL SCIENCES AND HUMANITIES, WARSAW

Childhood Memories in the Spectral World

This essay combines autobiographical narrative with an analysis of the possibilities of dialogue with and understanding of another culture. Koczanowicz recounts his childhood in Legnica, Lower Silesia, and his encounter with the different cultures – Russian, Jewish, Ukranian, Lemko and Greek – represented by its inhabitants. Although the Germans who had built the town had been resettled after World War II, their dominant presence was felt in the background. Koczanowicz draws on philosophy and cultural studies to explore if and how it is possible to have a dialogue with a culture that has disappeared, leaving no more than material artefacts.

Keywords

memory, Lower Silesia, cultural dialogue, communism, Soviet Army